



ROZMOWA Z JANEM ENGLERTEM

# ŻYCIE W GORSECCIE

Nie miałem charakteru na wielkiego twórcę. Ciągła samokontrola powoduje, że mam kłopoty z fruwaniami – wybitny aktor **JAN ENGLERT** opowiada o przemocy w teatrze, niechęci do internetu i starości

ROZMAWIA JACEK TOMCZUK ZDJĘCIE SZYMON SZCZEŚNIAK

**NEWSWEEK:** Dyrektor Teatru Narodowego w „Dziewczynach z Dubaju”? Po co to panu było?

**JAN ENGLERT:** Czuję się porzucony przez film, zdradzony jak kochanka. Od jakiegoś czasu dostaję tylko propozycje łobuzów, defraudantów, złych rodziców. Epizody na dwa, trzy dni zdjęciowe. Zawsze czytam scenariusz. Jak dobry, to gram. Nie ukrywam, że skoro te role nie dają mi szczególnej satysfakcji artystycznej, to oczekuję finansowej. Zwykle stawiam zaporowe honorarium, jak przechodzi, to gram i zarabiam. Jak odmawiają, nie cierpię. Przeczytałem scenariusz „Dziewczyn”, był ryzykowny, ale ciekawy, a moja rola nie wymagała zrobienia czegoś przeciwko sobie. Nie wiedziałem nawet, kto będzie reżyserował ani kto stoi za produkcją. Na wszelki wypadek wałęnałem zaporową cenę, ale się zgodzili. Chodziło o dwa dni.

**Aż zjawił się pan na planie...**

– ... na którym czekała na mnie pani Doda z fotoreporterami. Zrozumiałem, dlaczego zostałem zaangażowany, ale to niczego nie zmieniło. Układ był jasny i uczciwy. Poza tym, bez przesady, już dostałem kiedyś nominację do nagrody Złote Węże [to antynagrody za najgorsze polskie filmy – red.] za rolę w filmie, którego zresztą nie widziałem.

**Zauważył pan, kiedy trafił na aktorski boczny tor?**

– Do pięćdziesiątki zajmowałem się tylko sobą i miałem wtedy permanentne sukcesy. A potem przyszło mi do głowy uczenie studentów aktorstwa i zacząłem traktować to poważnie, zostałem dziekanem wydziału aktorskiego, potem rektorem i powoli zmieniała mi się perspektywa na siebie, świat. Musiałem zaimek „ja” wykreślić z pierwszego miejsca i postawić dalej, a to w naszym zawodzie szkodzi. I boleśnie się o tym przekonałem.

Pierwszy zdradził mnie film, to było pewnie w latach 90., kiedy rektorowałem warszawskiej akademii teatralnej. Jak się zostaje urzędnikiem państwowym, to trzeba być dyspozycyjnym, a film wymaga tego samego. Nie miałem czasu, ale może też film szukał nowego typu bohatera. Jeśli chodzi o teatr, to pozycja dyrektora też nie ułatwia mi kariery aktorskiej.

**Przez 18 lat lat zagrał pan osiem ról, w tym trzy główne.**

– I żeby było jasne, rozumiem reżyserów, którzy nie chcą mieć dyrektora w obsadzie, bo to oznacza, że pracodawca będzie im patrzył nieustannie na ręce. Wystąpiłem gościnnie w TR Warszawa u Grzegorza Jarzyny i to była przyjemność. Wreszcie nie czułem tej odpowiedzialności za nic poza sobą.

Dzisiaj żałuję, że zbyt szybko uległem pysze i podjąłem obowiązki pedagoga, rektora, dyrektora. Po co mi to było? Wiesiek Dymny mówił: „Łatwo przejść do historii, ale trudniej wrócić”. Uwiera mnie, że nie wykorzystuję umiejętności, które niewątpliwie posiadam.

**Boli, że pan, gwiazda aktorstwa, jedzie na dwa dni zdjęciowe do epizodu?**

– Nie jestem gwiazdą.

**Bez przesady.**

– Byłem nią, to prawda, ale 30-40 lat temu. Kilka dni temu poszedłem do jednej z telewizji porozmawiać o mojej książce „Bez oklasków”. W portierni lekarka robiła test i pyta: nazwisko. Englert. Jak? Może pan przeliterować? Nie dryfuję na portalach plotkarskich, w mediach społecznościowych, nie gram w telefonach. W maju pojechałem na turniej tenisowy do Mrągowa. Sala obiadowa, tłumy, czekam grzecznie na swoją kolej, podchodzi kierownik sali zakłopotany: „Panie Janku, tak mi przykro,

Jan Englert  
Kamila Drecka  
Bez oklasków  
Wydawnictwo Otwarte

że musi pan czekać, ale mam młody personel, około trzydziestki. Prosiłem, żeby pana inaczej potraktowali, ale oni pana nie znają”.

**To oczyszczające czy smutne doświadczenie?**

– Rozmawia pan z sytym aktorem, ja swoje już zjadłem. Po „Kolumbach” wygrywałem plebiscyty na najpopularniejszych aktorów, przez lata nie wychodziłem z telewizji i filmu. Długo płynąłem na tej wysokiej fali, znam ją, zakosztowałem i skonsumowałem. Wie pan, co najbardziej boli w tym zawodzie? Nie, kiedy się nie dostaje ofert, zwłaszcza w moim wieku, to naturalna kolej rzeczy, ale kiedy się jest w pełni sił twórczych, wie, że role wychodzą, ale nikogo to nie obchodzi i nic z tego nie wynika.

**Ma pan jeszcze apetyt na granie?**

– Oczywiście, na granie, reżyserowanie, nawet na życie. Mówię lekceważąco o śmierci, bo gdybym myślał, że pora umierać, to koniec. Defensywa. A ja nie znoszę defensywy. Chcę umrzeć w biegu, a nie w stanie spoczynku. Taki mam plan.



”  
**DZISIAJ ŻAŁUJĘ,  
ŻE ZBYT SZYBKO ULEGŁEM  
PYSZE I PODJĄŁEM  
OBOWIĄZKI PEDAGOGA,  
REKTORA, DYREKTORA**

JAN ENGLERT

**Ma pan życie poza pracą?**

– (długa pauza) No, chyba nie. Mam tylko takie uzupełnienia, jak sport, rodzina. I mogę chyba powiedzieć, że w moim życiu nie było niczego, co nie służyło pracy. Nawet jak się pojawiała jakaś drobnostka, „przyprzążka”, jak mówił Gombrowicz, to zawsze służyła do wykonywania zawodu. Ale też muszę przyznać, że nie miałem charakteru na wielkiego twórcę. Ciągle samokontrola, w której kulcie się wychowałem, powoduje, że mam kłopoty z fruwaniami. Ile razy lekko się unoszę, to zawsze sam siebie ściągam na ziemię. Natomiast nie nam kłopotów z mocnym stąpaniem po ziemi.

**Starość to dla aktora wyzwanie?**

– Mamy chyba nawet łatwiej niż inni. Można uprawiać ten zawód aż do śmierci, chyba że się traci pamięć, a to dla aktora jest bolesne. To zawód, który oswaja ze śmiercią, w teatrze można umierać codziennie i na drugi dzień zmartwychwstać. Tutaj żadna śmierć nie jest ostateczna.

**Pan od razu o śmierci, a ja pytam o lęk, czy da się radę fizycznie wytrzymać cały spektakl, zapamiętać tekst? Rozmawiałem kiedyś z Jerzym Trelą, mówił, że jesteście z pokolenia, które nie potrafi pokazać słabości, na scenie musicie być ze stali.**

– O tym jest właśnie „Król Lear”, ale zrozumiałem to dopiero niedawno. Kiedy go grałem przed laty, myślałem, że to tekst o utracie władzy, teraz, kiedy dobiegam osiemdziesiątki, wiem, że Szekspir opowiada tak naprawdę o starzeniu się. O tym, że wtedy świat wokół nas się kurczy, my stajemy się coraz śmieszniejsi, boimy się, czy mamy do powiedzenia coś, co jest aktualne, ciekawe, a nie stare. I mamy coraz więcej wątpliwości.

**Udaje się?**

– Czuję coraz więcej obaw, czy mam rację. Stąd wynikają też błędy, które popełniam, bywam despotyczny, może dlatego, że starość polega na traceniu pewności siebie. Wątpliwości osłabiają. Dlatego sztuka, która przeciw żywi się wątpliwościami, jest w układzie pokarmowym współczesnego społeczeństwa tak bardzo daleko, już prawie na końcu. Bo ze swoimi wątpliwościami jest masom nieprzydatna, pozostaje fanaberią małej grupki odbiorców. Dzisiejsza władza też tego nie poprawi, bo ona nie ma wątpliwości, skoro na sztandarach wypisała: Bóg, honor, ojczyzna. A prawdziwi artyści częściej się interesowali diabłem. Ludzie sztuki są dzisiaj nazywani marionetkami, darmozjadami, żyjemy z dotacji państwa. W „Onych” Witkacy napisał 90 lat temu: „Sztuka jest ostatnią pałką w szprychach tego wozu, który prowadzi ludzkość do pełnej automatyzacji”. To bardzo boleśnie dotyczy współczesnego świata.

**Czy kiedyś ten zawód więcej wymagał od aktorów?**

– Zdziwię pana: mniej. Mówię o prawdziwym aktorstwie, a nie telenowelach. Teraz aktor, żeby mieć sukces, musi na scenie, na planie się spalać, reżyserzy wymagają od nas najwyższego diapozonu emocjonalnego. Zaczynałem w czasach, kiedy po okresie socrealizmu teatr odkrył abstrakcję, ironię, porozumiewanie się ponad tekstem. To było aktorstwo intelektualne. Kiedyś Andrzej Łapicki opowiadał o jednym z kolegów, który był prekursorem dzisiejszej konwencji: „Janek, deskę klozetową to każdy zagra, ale bądź interesujący, kiedy wchodzisz na scenę i mówisz: »dobry wieczór«. To jest sztuka”. Dzisiaj to banalne. Aktor musi bezwstydnie rozdrapywać wszystkie swoje słabości.

Miałem wybitnie zdolną studentkę, wszystko grała na krawędzi kryzysu emocjonalnego. „Nie wchodź tak głęboko w rolę, nie dawaj z siebie zawsze 200 procent” – mówiłem. Kiedy kręciliśmy Teatr Telewizji, cały dzień nie wychodziła z roli, ani na sekundę. Efekt był olśniewający, ale po paru latach się posypała. Jeżeli aktor chce uprawiać ten zawód długo, musi zostawić sobie margines prywatności. Nie może sprzedawać siebie. Ale to w dzisiejszych czasach zmniejsza jego szansę na sukces.

**W tej pracy zdarza się przekraczanie granic. Dyskusja o #MeToo i mobbingu w polskim teatrze się skończyła czy jeszcze na dobre się nie zaczęła?**

– W teatrze ten problem zawsze istniał. Kiedy zaczynałem, telewizja dopiero raczkowała, kręcono kilkanaście filmów rocznie, więc punktem odniesienia dla aktorów był teatr. Spędzaliśmy

tam większość czasu, był dla nas domem, rodziną. I tak jak w każdej rodzinie działały się w niej rzeczy wspaniałe i okrutne: zemsty, romanse, przemoc... Bronisław Pawlik, kiedy mu na scenie trochę zmieniłem sytuację, ze złości walnął mnie laską w głowę. No i co? Nic, nie poszedłem na skargę do dyrektora, tylko w kulisie mu powiedziałem: „Jeszcze raz pan mnie uderzy, to oddam”. Nina Andrycz po premierze „Balladyny”, na której kaszlałem podczas jej monologu, kiedy zgasło światło, powiedziała: „Żebyś pękł, gówniarzu”. A dyrektor oczekiwał, że przeproszę naszą gwiazdę.

#### **I co?**

– Uniosłem się honorem i za tego gówniarza nie poszedłem przeprosić.

Byłem świadkiem przemocy wielokrotnie. Aktorskie gwiazdy potrafiły wykańczać młodych reżyserów, zespół niszczył reżysera, ale też na odwrót. Sam co najmniej raz mobbingowałem reżysera, ale też byłem tak potraktowany przynajmniej przez trzech wielkich twórców. Jerzy Jarocki, jeden z moich ostatnich mistrzów, potrafił być okrutny i nawet gdy grałem u niego, już jako dyrektor, miał frajdę ze sprawiania mi bólu. I tu pojawia się problem: bo jeżeli pracuję z wybitnym reżyserem i mam trochę oleju w głowie, to widzę, że w tym ciemnym tunelu, przez który

muszę się czołgać, czyli próby, jest światełko, szansa na sukces. I godzę się na to. Może dlatego, że mam umiejętności, rzemiosło, instrumenty pracy. Mój ból jest twórczy.

#### **No właśnie, ale czy wielcy mogą więcej? Ta zasada wciąż działa?**

– Tak, wciąż są teatralni bogowie, którym wybaczają się więcej, choć wiem, że to niepopularny pogląd. I tych bogów się nie tyka. Nie bagatelizuję tego problemu, ale trudno się o nim rozmawia w takich warunkach jak dzisiaj.

#### **Skoro problem zawsze był, to co jest nowe?**

– Zaczynamy przywoływać sytuacje z przeszłości, czasami odległej, a wtedy słowo jest przeciwko słowu. Poza tym rozchwialiśmy kryteria wartości, zburzyliśmy hierarchię, coraz trudniej wyznaczać granicę między kompromisem i konformizmem. Żyjemy w czasach, w których mamy gigantyczną frajdę z publicznego niszczenia autorytetów, grzebania ludziom w życiorysach. Do tego o tak delikatnych sprawach rozmawia się w internecie...

#### **... którego nie jest pan miłośnikiem.**

– To prawda. Zdaję sobie sprawę, że nie ma od niego ucieczki. Druk, wynalazek Gutenberga, też był rewolucją dla świata, ale zanim się z nim oswoiliśmy, minęły dwa wieki. Internet nadał światu tempo, które dla nas chyba jest zabójcze. Poza tym robi



Jan Englert jako Zygmunt w „Kolumbach”  
w reżyserii Janusza Morgensterna (1970)

nam straszny śmietnik i z życia społecznego, i naszych głów. A nawet w koszu na śmieci mam segregację, oddzielałam plastik, papier, szkło, bio... W internecie wszystko jest wymieszane, żadnej segregacji. Nawet jak chcę wyjąć z niego coś wartościowego, to i tak jest to ubabrane.

Przez większość mojego życia kluczową kategorią w pracy teatralnej i życiu społecznym była kategoria wstydu, przestrzeganie norm tego, co wypada, a co już nie. W XXI wieku świat domaga się od nas bezwstydu: fizycznego, psychicznego, emocjonalnego. Ludzie lubią oglądać dziś stany ekstremalne, pastele umarły. A to oznacza, że aktor musi się obnażyć psychicznie przy reżyserze, kolegach, publiczności. Wtedy przypomina przewróconego na plecy jeża, który ma odkryty brzuch. I strasznie łatwo go wtedy zranić, a nawet zabić.

**Jak pan i aktorzy Teatru Narodowego czuliście się w pandemii?**

– Gdybym był premierem, wprowadziłbym obowiązkowe szczepienia. Zresztą na tym tle miałem konflikt z zespołem.

**Zmuszał pan do szczepień?**

– W pandemii moje relacje z zespołem bywały trudne.

**Dlaczego?**

– Bo zmuszałem ludzi do pracy, nie pozwalałem na żadną autoizolację bez wyniku testu. Podczas pandemii zrobiliśmy pięć premier! Jak pan się domyśla, w tym zawodzie nie da się pracować w maskach albo zachować dystansu społecznego. Żądałem zdejmowania masek na próbie generalnej. Oczywiście respektowałem wszystkie przepisy sanitarne i wytyczne sanepidu, prowadziliśmy testy na koszt teatru u każdego, u którego pojawiły się niepokojące objawy. Ale pracy nie przerwaliśmy ani na chwilę i zdaję sobie sprawę, że niektórzy mogliby mnie oskarżać o mobbing.

”  
**INTERNET NADAŁ  
ŚWIATU TEMPO, KTÓRE DLA  
NAS CHYBA JEST ZABÓJCZE**

JAN ENGLERT

**Dlaczego tak pan naciskał?**

– Kilkakrotnie widziałem, jak tonęły wielkie teatralne okręty. Nie chciałem dopuścić do śmierci zespołu.

**I pandemia nie była usprawiedliwieniem, żeby nie grać?**

– Żadnym. Nie zgadzałem się, żeby ktoś, kto się boi choroby, paraliżował pracę zespołu. Prawdopodobnie nie miałem racji, byłem w stanie pandemicznej gorączki, przekonany, że nie możemy sobie pozwolić na rozmędlanie, poluzowanie, kiedy dopadła nas taka katastrofa. Przeciwnie, trzeba pracować jeszcze więcej. A może uznałem, że w moim wieku nie wypada już bać się śmierci. Aleksander Fredro napisał: „Nie strach umrzeć, strach umierać”. To hasło, pod którym się podpisuję. Wegetacja mnie przeraża, choć kiedy przemawiałem do zespołu, zagrzewałem do pracy, miałem kilkakrotnie poczucie śmieszności.

**W swojej książce „Bez okłasków” mówi pan, że ojcu zawdzięcza cechy przywódcze, matce – gorset powinności.**

**Co to właściwie znaczy?**

– O ojcu nie powiem wiele, znałem go zbyt słabo, właściwie legendy o nim. Kiedy rodzice się rozwiedli, nie widywaliśmy się zbyt regularnie. Mama była moim wzorcem. Bardzo ciekawym, bo nie miała żadnego sukcesu poza tym, że była przyzwoitym człowiekiem. Chyba jej największym osiągnięciem byliśmy my, jej synowie. Ale samo przyglądanie się jej walce o siebie, o życie, o nas, było niezwykle. Kiedy się rozstawała z ojcem, pamiętam, jak powiedział do niej: „Ty nie masz nawet matury”. Potem na moich oczach uczyła się, studiowała i utrzymywała rodzinę. Jeśli mam jakieś pozytywne cechy, to wynikają z tego, co widziałem w niej. Ale była też zasznurowana, nakładała na siebie gorsety zasad moralnych, powinności, dumy. Nigdy nikogo o nic nie poprosiła.

**I pan to ma po niej?**

– Tak, ale ona niczego mi nie narzucała, sam się wbiłem w ten gorset. Nie mówię o pasie cnoty, bo święty nie byłem. Ale ten gorset zasad, obowiązku pracy, wstydu, jaki na siebie nałożyłem, w sumie okazał się dla mnie dobry.

**Pan wie, że to brzmi staroświecko.**

– OK, powiedzmy jasno: jestem dziadersem na fali opadającej, a nie wznoszącej. Nie mówię, że kiedyś było lepiej, było inaczej. Wychowałem się w szacunku dla rzemiosła. Kiedyś na egzaminie do szkoły teatralnej zjawił się postawny kandydat. Aleksandra Ślaska, szefowa komisji, czuła na punkcie męskiej urody, aż się uniosła z krzesła. Facet powiedział, co przygotował, cienkim głosikiem, nie wymawiając połowy głosek. „Pan wie, że z taką dykcją nie może pan zostać aktorem?” – pyta Ślaska. A on na to: „Frajer dykcja, grunt talencik”. To hasło towarzyszy nam dzisiaj na każdym poziomie życia społecznego. I z tym nie umiem się pogodzić. **N**

[jacek.tomczuk@newsweek.pl](mailto:jacek.tomczuk@newsweek.pl)

**JAN ENGLERT**, ROCZNIK 1943, JEST AKTOREM, REŻYSEREM, PEDAGOGIEM, DYREKTOREM TEATRU NARODOWEGO W WARSZAWIE. WŁAŚNIE UKAZAŁA SIĘ W WYDAWNICTWIE OTWARTE KSIĄŻKA „BEZ OKŁASKÓW”, WYWIAD RZEKA Z AKTOREM, KTÓRY PRZEPROWADZIŁA KAMILA DRECKA-ANDERMAN